№ 52. Warszawa, dnia 15 (27) Grudnia 1882 r. Rok XVII.—Tom XVIII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 2 sgr. 20.

JERYCHOŃSKA RÓŻA.

Czy to cud jest, że Jerychońska róża,
Chociaż martwa, sucha już i spłowiała,
Nagle drętwe swe listeczki rozmruża,
I gdy w górze anioł hozannę dzwoni,
Chrystusowa gwiazda na niebie pała.
Ona znowu, pełna krasy i woni,
Cała w blasku i w piękności jest cała?

Lecz to cud jest, ach cud, że w ludzkiem łonie
Serce takim Jerychońskim jest kwiatem.
Chociaż życie znojem oblewa skronie,
Tyle walk w niem, i tyle niepokoi,
Tak się męczą nogi idące światem,
Niechże usta tkną ideału zdroi,
Człowiek rządzi sił mieniem tak bogatem,
Że w ubogi żywot troski i trudu
Nagle drugie wplata sobie istnienie:
Szafujący rozrzutnie z skarbnic cudu,
Ma w noc ciemną różowe brzaski świtu,
A gdy blaski rozsypie i promienie,
Nową gwiazdę zapala wśród błękitu,
I anielskie sam bierze uskrzydlenie.

Pozytywizm w praktyce

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dokończenie).

— Jesteśmy zadumani, nie jak na ludzi praktycznych przystało—przerwała ciszę Zosia.

— Ach moje dziecko, zapomniałam o starej Purchlinie i Stasi Kłębczance. Młoda dziewczyna — mówiła mama, zwracając się do Kazimierza—zachorowała jakoś dziwnie. Dreszcze, lekka gorączka, ból głowy i znowu dreszcze. Sprowadziłam doktora; napisał receptę, lecz sam nie umie zdać sobie sprawy z objawów choroby—mówi o rozdrażnieniu nerwów. Dopiero dowiaduję się od ludzi, że to są skutki zawiedzionej miłości. Wszędzie uczucie odegrywa swą rolę i upomina się o swe prawa.

— Dodać do posagu jednę krowę — mówił z uśmiechem Kazimierz — a konkurrent się znajdzie i wyprze z serca kochanka. Nareszcie sama krowa gotowa odrazu ranę serca zagoić.

— Niezawodnie — odparła Zosia—gdyż krowa u ludu znaczy tyle, co u nas naprzykład wioska. U wielu z nas również jakąś wioskę daną w prezencie możnaby ułagodzić rozstrojone nerwy.

—Kłębczankę znam i nie sądzę, aby darowizna krowy mogła wyrugować z jej serca Wieczorka—zaprotestowała mama.

— Gotów jestem założyć się — zawołał młody człowiek.

— A więc zakład — pochwyciła Zosia.—Pewno się znajdzie na wsi krowa na sprzedaż—zwróciła się do służącego.

— Jurek, proszę panienki, chce sprzedać swoję—odpowiedział nieśmiało służący,—a ma ładną.

— Mama zgodzi krowę u Jurka, pójdziemy z nią do Kasi i jeżeli radość jej będzie tak wielką, że zagłuszy miłość do Wieczorka, wtedy mama zapłaci za krowę; w przeciwnym zaś razie pan.

— Zgadzam się — rzekła mama — gdyż w każdym razie biedna dziewczyna zostanie właścicielką krowy.

— Po obiedzie idziemy odwiedzić Purchlinę, zaniosę jej ziółek—a potem z krową do Kasi.

Projekt został przyjęty.

Po powrocie od słabej staruszki a piastunki Zosi, na gazonie pasła się ładna, młoda krowa, trzymana na powrózku przez chłopca, przypatrującego się z ciekawością Kazimierzowi. Matka wyszła ze dworu i razem we troje błoniem poszli do zrozpaczonej Kasi. Za nimi szedł chłopiec, obok niego krowa. Rozmawiali widocznie ze sobą. Chłopiec coś gwarzył, a krowa głową wstrząsała, przystawała, rycząc chwilami zcicha, żałośnie.

— Wejdźmy na dziedziniec od strony stodoły, aby niespodzianie zejść zakochaną—zaproponowała Zosia.

W otwartem oknie chaty siedziała blada dziewczyna, szyjąc nową perkalową koszulę. Na widok dziedziczki, jej córki i młodego pana—wybiegła zawstydzona—całując w ręce dziedziczki.

— Moja Kasiu, na strapienie twoje przynosimy ci leki—przemówiła starsza pani.

— Ej mnie już tam żadne leki nie pomogą—szepnęła.

W tej chwili ukazał się chłopiec z krową, która rozglądała się dokoła ciekawie.

— Patrz, jaka ładna krówka — i dlatego, że je-

steś dobrą i pracowitą, mama ci ją daruje—mówiła Zosia, głaszcząc dziewczynę.

Ognie buchnęły na twarz Kasi i znikły, czyniąc większą jeszcze jej boleść. Wodziła wzrokiem w milczeniu, to na krowę, to na swe panie, nie mogąc wymówić słowa.

— Kasiu, nie wierzysz nam?— odezwała się łagodnie mama.

Łzy strumieniem polały się po twarzy dziewczyny.

Scenie tej przypatrywał się z wytężoną uwagą Kazimierz.

Zosia również milczała, niechcąc wpływać na rozwiązanie.

—A cóż ja z nią zrobię, a czemże ją uchowam?—zawodziła rozpaczliwie.

— Sprzedasz—odpowiedziała jej Zosia.

— Sprzedawać takie piękne bydlątko!—Zwróciła się do dziedziczki i, całując ją po rękach, prosiła: — Weź se kochona, złocista pani, weź, we dworze będzie jej lepiej. Nademną, sierotą, Bóg się ino zlituje.

— Myślałam, że cię ucieszę.

— Mnie już teraz nic nie ucieszy.

— Boś sobie za bardzo wzięła do serca Wieczorka. A mało to tęgich chłopaków we wsi? Nie ten, to inny—tłómaczyła jej dziedziczka.

Zarumieniła się dziewczyna, spuszczając oczy, powtórnie zaszłe łzami.

— I cóż mi po nich?—szepnęła.

— Takeś się w niego wlubiła?

Kasia nic nie odpowiedziała.

— Wieczorek z flisu wróci: zastanie krowę i będzie jej rad.

— Nie, nie wróci—odparła.—A jeżeli wróci, to nie sam. Ksiądz go wywoływał z ambony. Pono żeni się z bogaczką — łzy i wzruszenie tamowały jej mowę.—Weźcie, o weźcie, złocista pani, tę krowinę; co mi po radości?

Kazimierz i Zosia przypatrywali się ze wzruszeniem cichej boleści młodej wieśniaczki.

— Krowa zostanie u ciebie—zdecydowała dziedziczka.—Na jej przezimowanie dostaniesz siana, słomy i buraków. A nie rozpaczaj — powinnaś więcej wierzyć w miłosierdzie Boskie.

Dziewczyna stała, nie śmiąc się odezwać. Chłopiec wsunął jej w rękę powrózek, na którym była przywiązana krowa.

Towarzystwo, chcąc uniknąć podziękowań i widoku nowych wzruszeń — odeszło; za nimi chłopiec.

— Piotruś, a chodź-że, zjesz choć-by kawałek chleba—wołała Kasia.—Chłopiec wrócił.

— Zakład przegrałem — rzekł poważnie Kazimierz.

— Obawiam się, aby nasza wygrana nie była zbytecznie wyforsowaną—odparła Zosia. — Boleść Kasi świeża. Lud nasz być może żywo, lecz za to krótko czuje. Dziewczyna o zdradzie narzeczonego dowiedziała się zaledwo przed paru dniami.

— W kwestyi zakładu zgadzam się — oświadczyła matka, — lecz, moja Zosiu, czas wszystko łagodzi, temwięcej u ludu, który go ma tak mało na uczucia.

— Podzielam zdanie pani — odezwał się młodzieniec — zakład przegrałem i żadna obrona nic nie pomoże. Wzruszony jestem dolą tej dziewczyny. Mało wyrazów; za to czuć było rozpacz w drżeniu głosu i widać ją było w wyrazie twarzy.

— Nie można zaprzeczyć, żeby Kasia nie była realistką—rzekła Zosia.

— Niezawodnie—poświadczył Kazimierz.

— A mimo to uczucie w tych pierwotnych naturach odegrywa często ważną rolę w ich życiu.

— Ale-bo też być oszukaną, zdradzoną i porzuconą przez narzeczonego, należy do wielkich boleści — tłómaczyła mama. — Wieczorek, opuszczając tak dobrą dziewczynę, jak Kasia, musi być albo wielki urwis, albo wielki głupiec.

Kazimierz zbladł i przygryzł wargi, które mu ze wzruszenia drżały.

— Ależ, mamo, Wieczorek jest tylko człowiek trzeźwo patrzący na rzeczy, umiejący się liczyć z wypadkami i nareszcie nie odpycha fortuny, gdy ona zaczęła się do niego uśmiechać.

— Moja Zosiu, od wczoraj jesteś w swych sądach i opiniach jakaś dziwna i nienaturalna.

— Przeciwnie, praktyczna. Bronię Wieczorka z naszego stanowiska i cieszę się, że tesame pobudki, które rozgrywają komedye i dramaty życia naszego, kierują i losami ludu. Kasia przedstawia stronę idealną—ofiarę, dla której mamy litość, Wieczorek—racyonalną. I dobrze będzie mu się dziać w życiu, pozyska uznanie i szacunek ludzi.

Matka badawcze rzucała spojrzenia na córkę. Kazimierz zamyślił się i posępniał—Zosia spoważniała. Wracali przez błonie w milczeniu. Przed nimi ciemne góry, kąpiąc się w przezroczystej mgle drzemały, od zachodu słońce rzucało złotawe promienie, haftując przędzę babskiego lata, rozpostartą na zielonej murawie. Nikt nie przerywał milczenia, prócz dalekich nawoływań pastuszków.

— Ziemia kładzie się do długiego snu i taka cisza dokoła—rzekła mama.

— Zostaliśmy osieroceni, pouciekano od nas, dlatego, że jesteśmy teraz biedni, że nic od nas wziąć już nie można.

— Kto?— spytał Kazimierz — jakgdyby ze snu zbudzony.

— Ptaki—odparła Zosia—skowronki, bociany, jaskółki. Patrz pan, uciekają i dzikie gęsi długim sznurem. Smutno się robi, gdy nas towarzysze szczęśliwych dni odbiegają.

— Dosyć już tych ponurych przeczuć—zawyrokowała mama. Nikt nas nie chce zdradzać, nikt od nas nie ucieka. Córko, proszę rozpogodzić twarz i uśmiechnąć się.

Zosia się uśmiechnęła.

— Gdyby nas świat cały zdradził, ludzie uciekli, to jeszcze znajdziemy w sobie tyle zasobów sił, że potrafimy żyć swobodnie, roztaczając w około, jeżeli nie szczęście, to spokój i zadowolenie.

— Panie Kazimierzu — zwróciłeś uwagę, jaką mam fantastyczkę córkę. Przed chwilą mówiła, że jest realistką i pozytywiską...

— Masz pani przedewszystkiem rozpieszczoną jedynaczkę—odpowiedział Kazimierz, siląc się na wesołość.

— Ciekawa jestem: co pozytywizmowi przeszkadza zdrada lub ucieczka przyjaciół? Tyleśmy ich mieli za naszych dobrych czasów.

— I dziś nam ich nie brak — odparła matka z godnością.—Zawieszam dyskussyą w tym przedmiocie, kawa na nas czeka. Proszę zmienić temat rozmowy. Pomagaj mi pan rozchmurzyć rozpieszczone dziecko.

Nowy jednak temat nie przychodził na zawołanie, a widocznie Kazimierz nie umiał rozchmurzać zasępionych czół—rozpieszczonych dzieci.

Wieczorem, pod pozorem bólu głowy, Zosia nierozchmurzona poszła do swego pokoju; Kazimierz wrócił do siebie.

— Dosyć tego: nie chcę dłużej odgrywać roli pośrednika w sprawie nędznej, nie chcę co chwila być policzkowanym przez siebie samego i upokarzanym. Nie można prowadzić tego rodzaju gry, z ludźmi tak szlachetnymi. — Zosia widocznie umyślnie przyjmuje zasady pozytywizmu, aby mnie pod ich osłoną tem energiczniej maltretować. I cóż powiem tym kobietom? Że.., że... nie śmiał głośno wypowiedzić. — Trzeba to skończyć nareszcie.—Pochwycił pióro i zaczął pisać z gorączką i pośpiechem właściwym ludziom energicznym.

Kochany Władziu!

„Jestem od dwóch dni w Zalesiu, zachwycony Zosią i jej matką. Jakkolwiekbądź namawiałem cię do zerwania przyjaźni, lecz dziś zawstydzony cofam moje opinie. Drogi bracie, niepodobna uciekać, niepodobna porzucać. Nawet nie przypuszczam na chwilę, aby się to stać mogło. Zosia, to skarb, wierzaj mi, że mówię z pozytywnego stanowiska. Przyjeżdżaj więc, a jeżeli potrzebujesz gotówki do wyekwipowania się i uciszenia Jerozolimy, jestem zdecydowany pożyczyć ci dziesięć tysięcy rubli.

„Są ludzie, stosunki, wypadki, które potrafią odrazu zburzyć nasze zasady, choćby budowane na fundamentach niezachwianych prawd.

„Jeżeli w imię miłości i sympatyi nie mogę cię już sprowadzić do Zalesia, to wzywam cię w imię honoru, który powinien stać na straży naszego nieskazitelnego imienia.

„Czekam cię—śpiesz się“. *Twój Kazimierz.*

Wujaszka uściskaj.

List zapieczętował i zaadressował: — „Hotel Angielski w Warszawie“.

— Tam zawsze wujcio stoi: niezawodnie więc stanął i Władysław. Czy wróci?—zadawał sobie pytanie.—Czy tylko wróci?—Powinien, wróci niezawodnie, nie miał czasu zapomnieć, nie miał czasu zakochać się w kim innym. Wróci, wróci—powtarzał.

To „wróci“, szumiało mu w uszach, świdrowało w mózgu. Wziął książkę, lecz czytać nie mógł. Położył się, sen nie przychodził. Dziwne niepokoje gnębiły pozytywistyczne serce i wstrząsały niem srodze.

V.

Drugiego dnia, zaraz przy kawie, poprosił panie o gościnność na kilka dni, oświadczając, że radby się doczekać przyjazdu brata, który na parę dni za interessami pojechał do Warszawy.

Na bladą twarz Zosi wystąpił rumieniec. Patrzała w zamyśleniu w dno filiżanki i milczała. Za to jej matka z całą serdecznością ofiarowała gościnę bratu narzeczonego swej córki.

Kazimierz prosił, aby go uważać za domowego, w połowie należącego do rodziny, a zwracając się do Zosi—dodał:

— Jestem zdecydowany pracować.

— Wybornie, zastąpisz mnie pan w wykładzie historyi polskiej— i —nie znam pańskich specyalności.

— Mówią, że jestem niezły gospodarz i niezły myśliwy.

— A zatem mamie będziesz pomagał w gospodarstwie — tyle kwestyi agronomicznych jest do rozwiązania. A i Walenty będzie uszczęśliwiony, gdy znajdzie się kto, co zające i kuropatwy ofiaruje się na stół dostarczać.

— A zatem rano szkoła, po południu myśliwstwo.

— A w południe głośne czytanie dzienników mamie; mama przepada za tego rodzaju rozrywką.

— Zosiu, Zosiu, czy chcesz wydalić z domu naszego gościa?

— Przeciwnie, chcę go zatrzymać—inaczej nudziłby się z dwiema parafiankami.

— Wyzywasz pani na komplimenta, a zaraz pierwszego dnia skarciłaś mnie za nie. Nadużywasz swej władzy — mówił z pewnym tonem wymówki.

— Przepraszam — zawołała Zosia, wyciągając swą rękę, którą na znak przymierza Kazimierz pocałował.

I zaczęło się ciche, pełne serdecznego ciepła pożycie młodego człowieka i dwóch kobiet, z których starsza powodowała się zawsze sercem—młodsza—szlachetnością poglądów, rozumem i bystrością sądów.

Kazimierz uczył dzieci historyi, pomagał mamie w gospodarstwie i polował, lecz nie długo. Tęsknił za towarzystwem swej przyszłej bratowej, przywiązał się do jej matki, rozkoszował w ciszy—i w tym nastroju ducha, co dobre myśli nasuwa. Widocznie szlachetniał i widnokrąg jego myśli rozszerzał się, obejmując niemi kraj cały.

O szarej godzinie Zosia zwykle śpiewała; Kazimierz wsunięty w kącik salonu, słuchał i uczył się marzyć. Gdy przyniesiono światło, zaczynała się lektura. Kazimierz dobrze, bez affektacyi czytał. Głos jego wdzięczny nadawał się do poezyi, a dobry słuch stał na straży do utrzymania w karbach rytmu. Trzeci tom El-y'ego był odczytywany z zapałem. Zosia kochała się w tych strofach płynących miarowo, spokojnych i głębokich, jak myśl zaglądająca w tajniki duszy i przeznaczenia, lub człowiek patrzący na przeobrażenie się ludzkości, z uśmiechem pobłażania i miłości. Nieraz, wracając Kazimierz do swego pokoju, powtarzał zcicha:

Szukajcie prawdy jasnego promienia,
Szukajcie nowych nieodkrytych dróg.

Tydzień czasu zapadł w wieczność, podobny

do cichej sielanki, widzianej na scenie, lub jednej myśli szczęśliwej.

Przyszedł list z Warszawy, Zosia osobiście wręczyła go Kazimierzowi. Gdy rękę po niego wyciągnął, zbladł, za chwilę zarumienił się, nie śmiał go roztworzyć, lecz korzystając z pierwszej sposobności, pobiegł do swego pokoju. I tam dopiero, uwolniony od świadków, rozdarł gorączkowo kopertę i czytał:

Kochany Kaziu!

„Złapałem cię—mam cię, ptaszku. Widzisz, co znaczą wasze przekonania, zbudowane na egoizmie, który szumnie nazywacie pozytywizmem, filozoficzną zasadą, teoryą i Bóg wie nie czem jeszcze!

„To dlatego, że poznałeś dwie kobiety, które ci górnolotnemi frazesami głowę zawróciły, uśmiechały się do ciebie i mówiły o honorze, chciałbyś zagrodzić los rodzonemu bratu? Ale ja na to nie pozwolę!

„Nie jestem pozytywnym egoistą i dlatego występuję w imię miłości, poświęcenia, ofiary i stoję przy swojem, jak mur. Ot co ci powiem:—Dla ciebie nie exystuje ojczyzna, tradycya; ze szlachectwa, jako z zasady naśmiewasz się: u mnie inaczej, i dlatego stoję przy swojem, jak mur.

„Przyjechawszy do Warszawy, wprowadziłem nazajutrz zrozpaczonego Władka do Luboradzkich. Wszystko było naprzód ułożone. Zastajemy dwie Zawiercińskie z matką. Panny, mówię ci, jak łanie—dorodne, ładne i ułożone—no, i nie źle urodzone, a nie głupie. Starsza nawet dowcipna, a wiesz przecie, że ja się znam na tem. Lecz, co najważniejsza, to że *gotiu* na stół każda z nich ma po ośmdziesiąt tysięcy rubli. Złożone są w banku. Ośmieliłem Władka, wprowadzałem w rozmowę; dowcipkowałem: słowem, spracowałem się jak parobek przy młócce. Władek z początku melancholizował, lecz przy kolacyi tak się rozgadał i rozbawił, że już potem nie odstępował panny na krok.

„Pomału, pomału, kierując całą intrygą zręcznie, z taktem i sprytem, doprowadziłem do tego, że już dziś bukiet od Bardetów — prześliczny bukiet, poszedł do Emci. Przyjęła go i kazała podziękować.

„Oto tak się prowadzą sprawy rodziny, jeżeli się ją kocha, a przez nią kocha się kraj i tę dominującą część narodu, którą słusznie szlachtą (bo szlachetna) nazywamy.

„Zamiast Zosi będziesz miał bratową Emcię z ośmdziesięcioma tysiącami rubli. Marynia zapłacona, Jerozolima odesłana do Berdyczowa. Będzie szyk, zamożność, godne reprezentowanie imienia, a przytem większa sposobność zrobienia czegoś dla kraju. Wszystko tak, jak chciałeś.

„O ciebie, mój Kaziu, nie boję się—masz ty głowę ne karku i potrafisz się wykręcić. Powiem ci jednę rzecz pod sekretem: — Władek mi napomknął, że go te panie w Krynicy ogromnie zapraszały i ciągnęły do siebie. — Za intrygi—intryga. Oto co ci powiem: — Władek jest u Emci, prosił mnie, abym odpisał i uściskał cię serdecznie, co też czynię z przyjemnością.

„Wydobywaj się z tej nudnej i biednej Galilei i wracaj do nas“.

Twój kochający cię wuj.
Michał.

„PS. Wczoraj robiliśmy pulkę preferka. Wyobraź sobie, w kotle było dwieście pięćdziesiąt rubli, a siedm brało kocioł; jestem na ręku — mam: asa, króla, dwie małe i gram siedm trefl! Cisza się zrobiła, serce chciało mi wyskoczyć, tak się biło o żebra, z łysiny czułem, że para bucha.—Nie idę—odpowiada mój partner.—To ja sam pójdę—decyduje drugi. Gramy i robię siedm lew!—Wyobraź sobie moję radość i gruby śmiech, a osłupienie towarzyszów. Nie dziw-że się, że jestem w dobrym humorze i długi list piszę.

Kaziuto mój, bądź zdrów — przyjeżdżaj, śpiesz a poznasz Emcię. Władek dziś pewnie oświadczy się.“

Kazimierz stał chwilę jak skamieniały, nareszcie list zgniótł i miął go w ręku nerwowo.

— I cóż powiem—szepnął—że mam brata błazna, bez charakteru, serca, uczucia?

—Stało się jak sam chciałeś—powtórzył zwolna i dobitnie.

Stanął w oknie.

—Sam tego chciałem, lecz dziś... dziś... Czuję jak mnie wujcio wypoliczkował swą miłością i ofiarą. Co teraz robić, jak wyjść z tego położenia wobec tych ze zwyczajną uczciwością kobiet.... Zosia zarumieniła się.

— Panie Kazimierzu — usłyszał srebrny głos dziewczęcia:—Mama na „Wielkiem polu“, chodźmy, cieszyć się słońcem i ciepłem. Odebrane wiadomości są pomyślne?

— Kazimierz pochwycił kapelusz i wybiegł. Uścisnął serdecznie rękę Zosi, i zasępiony, blady—widać było, że jest zirytowany i przygnębiony—milczał, idąc obok niej.

— Nic pan nie mówisz? Czy może nieszczęście pana spotkało—pochwyciła Zosia.—Sądzę, że pan wierzysz w naszę przyjaźń. Współczucie przynosi ulgę, a na szczerość ze strony pana zasłużyłyśmy.—Czuć było w głosie dziewczęcia wzruszenie; drżał pieszczotliwie i dźwięczał serdecznie.

— Spotkało nas wspólne nieszczęście — odparł cicho, pochylając głowę.

Zosia przystanęła.

— Mów pan.

— Mój brat.... zamilkł, ze wzruszenia i wstydu.—Zosia pobladła.

— Nie przyjedzie—szepnęła.

Kazimierz pochylił głowę na znak potwierdzenia.

— Zrywa.

Kazimierz milczał.

— Przeczuwałam to— rzekła — poważnie, idąc naprzód.—Nadto prędko zajął się i nadto prędko oświadczył — Kazimierz postępował obok Zosi.

— W każdym razie postąpił sobie nędznie — szepnął.

— Przeciwnie bardzo racyonalnie, jeżeliby miał tego w przyszłości żałować.

— Wstydzę się.

— Pojmuję pańskie oburzenie—widzę, że jesteś szlachetnym! Na podobny krok nigdybyś się pan nie zdobył.

Twarz Kazimierza pokryła się szkarłatem.

— Lecz znowu—mówiła dalej Zosia—żadne się nie stało nieszczęście. Mamie mojej od śmierci ojca ciągle się zdaje, że niedługo żyć będzie, że nas zostawi sierotami, że Staś nie da sobie rady, a Wandzia dziecko — i dlatego modli się gorąco, aby mnie wydać za mąż, za gospodarza, któryby przyszedł nam w pomoc radą, energią i uratował majątek. Pan Władysław się znalazł, jakgdyby przez los, fortunę lub Boga wybrany. Nie kochałam go, lecz odmową nie mogłam mamie zrobić tak wielkiej boleści. Była pewną, że jej gorące modlitwy wysłuchane zostały. Co do mnie, prawie nie wierzyłam, aby małżeństwo nasze przyszło do skutku.

— Dlaczego?—spytał nieśmiało Kazimierz.

— Nie wierzę w extazye i głośny zapał. Dla mnie prawdziwe uczucie wyłania się z serdecznej przyjaźni....—urwała i jakby zawstydzona chciała uciec od wypowiedzianych wyrazów—przyśpieszyła kroku.

Serce Kazimierza zadrżało radośnie; zdawało mu się, że jakiś duch dobry i serdeczny napędza mu myśli szlachetne, popycha go do szczęścia, które przeczuwa, a jednak dojrzeć go dotąd nie mógł i nie umiał.

— Panno Zofio —zawołał—dobiegając.

— Lecz co powiemy mamie?—zagadnęła Zosia. Mama jest nerwowa, wierzy ludziom, spodziewa się co chwila p. Władysława. Boję się, aby tak ciężki zawód nie był dla niej ciosem.

— Mam sposób — odparł wzruszony — biorąc Zosię za rękę.

— Masz pan sposób?—szepnęła.

— Musisz się jednak naprzód pani na niego zgodzić.

— Ja? — spytała cicho Zosia, blednąc ze wzruszenia.

— Pani—odparł, przyciskając rękę jej do ust.—Od woli pani zależy zdrowie mamy, a moje szczęście—dodał ciszej.

— Zdrowie mamy — powtórzyła jak echo, nie wiedząc co mówić.

— I zamiast Władysława, przedstawić mamie Kazimierza, jako narzeczonego.

Zosia chciała wysunąć ręką z dłoni Kazimierza, lecz jej nie puścił.

— Jeżeli to pan robisz, aby wynagrodzić zawód ze strony brata....

— Nie zdając sobie sprawy, nie pytając się serca, jestem dziś pewny, żem cię pokochał na drugi dzień pobytu mego w Zalesiu. Bałem się, czy znajdę sympatyą, nie chciałem zdradzić brata.

— Przysięgasz pan, że mówisz prawdę?

— Przysięgam, że cię kocham—zawołał—tuląc jej ręce do ust.

— Powiem panu prawdę. I mnie się zdawało, że pan masz dla mnie sympatyą.... i....

— Dokończ!

— I nieraz myślałam sobie, że może byłoby dobrze, gdybyś pan przyjął na siebie rolę Władysława.

Pobiegli do matki. — Rozrzewniona kobieta, ze łzami w oczach, przyznała się, że przeczuwała podobne rozwiązanie i ze drżeniem serca oczekiwała tej chwili.

— Cóż powie pański pozytywizm wobec braku z mej strony posagu?—spytała Zosia.

— Powie, że zrobiłem świetny interes, gdyż znalazłem skarb, którego-bym nie wynagrodził milionowym posagiem.

— Teraz nareszcie wolno panu mówić mi komplimenta.

— Moje dziecko — zawyrokowała mama — co znaczą wszystkie pozytywizmy wobec serca, uczciwości i charakteru?

Wieczorem przyjechała Iza, wezwana przez umyślnego posłańca.

— A nie ostrzegałam pana?—mówiła z serdecznym uśmiechem, witając się.

— Ja zaś prosiłem, abyś pani była o mnie spokojną.

— Przeczuwałeś pan, bo o szczęście pańskie, a również o przyszłość Zosi, jestem zupełnie spokojną.

Dołęga, d. 14 Października 1882 r.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Grudniu 1882 r.

Choroba księżny Leonowej Sapieżyny, jej dobroczynność.—Dom pracy pod godłem Opatrzności.—Kwesta na targach i po domach.—Osiołek kwestujący.—Towarzystwo pomocy naukowej na Zamarstynowie.—Towarzystwo św. Cecylii.— Kuratorya Zakładu imienia Ossolińskich. — Czwarty tom *Pomników dziejowych Polski.—Żydzi w poezyi polskiej* przez Wł. Bełzę.—Wydawnictwa Księgarni Polskiej. — Koło literackie.— Trzy serye odczytów. † Domicyan Mieczkowski.

Smutna wieść rozeszła się w ubiegłym miesiącu po Lwowie. Księżna Leonowa Sapieżyna niebezpiecznie zachorowała. Przez dni parę mówiono nawet, że niéma nadziei wyzdrowienia. Aby zrozumieć to powszechne współczucie, tą żałobę, jaką wiadomość ta obudziła we wszystkich tutejszych kołach towarzyskich, śród wielkich i małych, bogatych i ubogich, tak dobrze w pałacu jak i w chatce zarobnika na najdalszem przedmieściu, potrzeba wiedzieć, jakie stanowisko zajmuje księżna w świecie tutejszym, jak oddana miłosiernym uczynkom na rozległą skalę rozwija filantropijną działalność, stojąc na czele wszystkich dobroczynnych instytucyi tutejszych, które po większej części sama swą gorliwością i zapobiegliwością w życie wywołała i utrzymuje. Jak ś. p. małżonek jej, książe Leon Sapieha, był niegdyś przez długie lata duszą i kierownikiem wszystkich spraw publicznych u nas, tak, iż imię jego splotło się nierozerwalnie z całym rozwojem ekonomicznego życia Galicyi w przeciągu lat blizko czterdziestu, podobnie księżna, we właściwym sobie działając zakresie, jest duszą tego wszystkiego, co się na polu publicznego miłosierdzia u nas dokonało. Ona stworzyła dobroczynny *Zakład św. Teresy*, mający przeznaczenie moralnego kształcenia kobiet, jako dom pracy i nauki; jej staraniem stanął *Szpital dziecięcy*, jedna z najpiękniejszych instytucyi, której potrzeba tak żywo dawała się uczuć mniej zamożnej ludności. Najnowszym zakładem, zawdzięczającym księżnie marszałkowej swe istnienie, jest

Dom przytułku i pracy, otworzony zeszłej zimy dla pomieszczenia i zatrudnienia stosownem do sił zajęciem starców i kalek obojej płci, tudzież dzieci opuszczonych, które przedtem oddawały się żebraninie ulicznej. Tu każdy przyjęty do zakładu znajduje stosowną dla siebie pracę, za którą, oprócz całodziennego pożywienia, otrzymuje także pieniędzmi pięć centów dziennie. Wynagrodzenie to nie wypłaca się gotówką, lecz każdy posiada książeczkę, w której zapisuje mu się jego zarobek w jednej rubryce, a w drugiej to wszystko, co oprócz pożywienia od zakładu otrzymał, jako to: odzież, bieliznę i t. p. Rzeczy te, obliczone po jak najniższej cenie, spłaca biorący ratami przez potrącenie z przypadającego mu zarobku, a pozostałą nadwyżkę otrzymuje gotówką. Tym sposobem przychodzą ubodzy tutejsi do zapracowanej własności, odzwyczajając się od żebractwa i liczenia na upokarzającą w tej czy owej postaci jałmużnę. Praca jest podzieloną według sił i zdolności każdego przyjętego do zakładu ubogiego. Okazało się, że wszyscy oni posiadają w ręku jakieś rzemiosło, i mogli sobie zapracować na utrzymanie, a tylko przez brak sposobności do pracy, zbieg okoliczności i brak pomocnej ręki w stosownej chwili podanej, zeszli na drogę żebraczą, popadłszy w nędzę, z której się sami wydobyć już nie byli wstanie. Szczególniejszy też wzgląd przy wyborze robót ma się na to, aby wyrabiać rzeczy, mające zapewniony odbyt, z których sprzedaży wpływałby dochód, przyczyniający się do utrzymania zakładu. Kobiety skubią i przędą wełnę, z której wyrabiają się w zakładzie rozmaitego rodzaju koce, kilimki, bundy i t. p., szyją bieliznę; szewcy wyrabiają obuwie, stolarze drzwi, okna i tym podobne przedmioty, tudzież skrzynie i paki na towary różnej wielkości wedle zamówienia, a dzieci, których tu jest około trzydziesciorga, kleją pudełka papierowe i takież torebki do handlów korzennych.

Potrzeba zwiedzić ten zakład, obaczyć jak tu wszystko urządzono wygodnie a pożytecznie z jakim spokojem umysłu; jak pilnie i szczerze pracują ci, co przed niewielu jeszcze dniami, pozostawieni na pastwę nędzy, wałęsali się próżniaczo po ulicach, będąc wyrzutkami społeczeństwa; jakie zadowolenie i pogoda duszy maluje się w obliczu każdego, aby poznać, jakiem istotnem dobrodziejstwem dla społeczeństwa jest ten *Dom pracy*, i jak szczęśliwą było myślą założenie go, zwłaszcza tutaj, gdzie żebractwo uliczne ostatniemi laty w zastraszającej mierze się wzmagało. Ale myśl sama, to dopiero połowa zamierzonego dzieła. Wykonanie nierównie większe, niżby mniemać można, nastręczało trudności. Zgromadzić fundusze, zebrać grono osób chętnych oddać się całą duszą podjętej myśli, aby ją w życie wprowadzić, powieśdź się to u nas mogło jedynie takiej protektorce, jak księżna Sapieżyna. Po raz też pierwszy zaprowadzony został u nas przez Zarząd Zakładu zwyczaj kwesty codziennej po mieście na targach i po domach za warzywem, wiktuałami i t. p. Codziennie rankiem wyjeżdża z Zakładu niziutki wózeczek, aby każdemu doń łatwo było sięgnąć ze swym datkiem, zaprzężony małym, siwym osiołkiem, i objeżdża targi miejskie, zbierając ofiarowane z dobrej woli przekupniów zasoby do kuchni zakładu. Nikt się prawie nie usuwa od datku; ale co dziwna, że przekupki lwowskie, wbrew gdzieindziej przyjętym zwyczajom, naprzykład w Krakowie, gdzie zdawiendawna klasztory wysyłają kwestarzów na targi, wolą ofiarować grosz gotowy do skarbonki, znajdującej się na wózku, niżeli warzywa lub wiktuały w naturze. Po obiedzie tenże sam wózek objeżdża całe miasto od domu do domu. Towarzysząca mu zakonnica, gdyż Dom Pracy pozostaje pod nadzorem zakonnic, wchodzi do każdej kamienicy i dzwoni, powołując mieszkańców do miłosiernego datku. Na donośny głos zakładowego dzwonka, dobrze już po wszystkich domach znanego, zbiegają się sługi i znoszą do wózka wszystko, co już na ten cel przygotowano w każdem pomieszkaniu, w każdej kuchni i spiżarce. Gdy zniesiono, co było, na wózek, osiołek rusza dalej — wszędzie witają go jak dobrego znajomego; grono chłopaków, zwłaszcza w porze wracania ze szkoły, otacza go nieustannie, głaszcząc i pieszcząc cierpliwe źwierzątko — przechodnie rzucają grosz do skarbonki. Poczciwy osiołek pracuje także dla społeczeństwa.

Popłochu narobiło u nas szerzenie się ospy, głównie pomiędzy dziećmi, ostatniemi czasy, do czego zapewne przyczynia się przedewszyskiem nadzwyczaj niezdrowa, dżdżysta jesień. Zamknięto niektóre szkoły, mianowicie ludowe po przedmieściach, gdzie ludność mniej zamożna, a skutkiem tego i dziatwa do szkół uczęszczająca, źle odziana i w złem obuwiu, bardziej jest narażoną na wpływ klimatu i epidemii, niżeli młodzież szkolna w samem mieście. Zimno i przemoknienie nie sprzyja muzom; gorzej może jeszcze niż pełny żołądek. Na Zamarstynowie zawiązało się, godne chwalebnego uznania, Towarzystwo miejscowej pomocy naukowej, mające na celu zaopatrywanie odzieżą i obuwiem tamtejsze dzieci, uczęszczające do szkoły ludowej lwowskiej. Co to jest Zamarstynów i gdzie leży?—zapytają moi czytelnicy, którzy nazwę tę zapewne poraz pierwszy w życiu słyszą, i napróżno usiłowaliby miejsce to znaleźć na którejkolwiek, choćby najlepszej, mapie Europy. Powiem więc dla zaspokojenia słusznej ciekawości, że Zamarstynów jest-to sobie wioska, stanowiąca przedmieście lwowskie tuż za rogatkami miasta położone. Pierwotnie była to osada niemiecka, przez osiedlonych pod bokiem miasta przybyszów *Sommerstein* nazwana. Z biegiem czasu spolszczyła się osada tak, iż w niej dzisiaj za grosz Niemca nie znajdzie, a *Sommerstein* w ustach polskich przeobraził się z czasem na dzisiejszy *Zamarstynów*. Przedmiejska ta wioska składa się z rozległych sadów, ponętnych latem swą zielonością i świeżością, i z rozrzuconych pomiędzy niemi domków, gdzie na *villegiaturę* przenoszą się mieszkańcy Lwowa, którym cięży powietrze miejskie. Dobre to i piękne latem, ale w jesieni, ale w zimie, dziatwa ubogiej ludności tutejszej, uczęszczająca do szkoły przedmiejskiej, po deszczu i błocie lub w szarugę zimową narażona jest na rozliczne choroby z przeziębienia. Zważywszy tę okoliczność, ocenimy dopiero należycie pożyteczność zawiązanego tamże Stowarzyszenia pomocy szkolnej, które winno stać się przykładem do naśladowania mieszkańcom innych przedmieść tutejszych.

Zawiązuje się też u nas *Towarzystwo ku podniesieniu muzyki kościelnej*, w gronie bardzo poważnych osób, pod protekcyą księdza arcybiskupa Wierzchlejskiego. Wezwanie z zaproszeniem do przystępowania do Towarzystwa, rozrzucone zostało temi dniami po całym kraju. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że muzyka kościelna zupełnie u nas podupadła, o czem przekonać się można, wstąpiwszy do któregokolwiek z naszych kościołów, czy to w stołecznem mieście, czy na prowincyi. „Zaginęła, — jak się wyraża odezwa, — właściwa jej powaga, ustępując miejsca duchowi światowemu z teatralnym i erotycznym kolorytem.“

Stało się to nietylko u nas, lecz w całym świecie. Ostatniemi wszakże czasy widzimy, zwłaszcza we Włoszech i Niemczech, podjęte usiłowania ku lepszemu kierunkowi, zwrot ku wzorom klassycznym, prawdziwie wzniosłym, odpowiednim powadze ducha religijnego. Pozakładane w tym celu szkoły i pozawiązywane towarzystwa uprawiają i upowszechniają muzykę kościelną wielkiego stylu. Tenżesam cel ma zawiązujące się towarzystwo we Lwowie. Zajmować się ono będzie, nietylko wykonywaniem utworów religijnych, zwłaszcza dawniejszych, znakomitych a zarzuconych kompozytorów, ale także rozpowszechnianiem po kościołach parafialnych na prowincyi takichże utworów, tudzież utrzymywaniem bezpłatnej szkoły śpiewu kościelnego. Zadaniem Towarzystwa ma być także kształcenie organistów, których u nas brak wielki. Towarzystwo znajduje wszakże grunt przygotowany, czego dowodem, że wydawana we Lwowie *Muzyka kościelna parafialna* liczy 2.200 abonentów, rozchodząc się szeroko, nietylko w samej Galicyi, ale i poza jej granicami, tudzież założone w początkach bieżącego roku „Towarzystwo wzajemnej pomocy organistów“, do którego liczni garną się członkowie. Przy tak przyjaznem usposobieniu ze wszech stron, z jakiem się już na razie spotyka, łatwiej będzie nowozawiązującemu się towarzystwu pomyślnie w zamierzonym rozwinąć się kierunku.

Kuratoryą Zakładu im. Ossolińskich objął uroczystym aktem młody książę Lubomirski, ordynat na Przeworsku. Po śmierci ostatniego zastępcy kuratora, ś. p. Kazimierza hr. Krasickiego, miał objąć zastępstwo aż do pełnoletności księcia z mocy aktu fundacyi, Namiestnik hr. Alfred Potocki. Sąd wszakże, na wniosek jego nadał pełnoletność księciu Lubomirskiemu, aby mógł zaraz już teraz objąć kuratoryą Zakładu. Młody kurator powołał na zastępcę swego prof. Antoniego Małeckiego i jemu poruczył naczelne kierownictwo Zakładu, a sam wyjechał na całą zimę dla kończenia studyów uniwersyteckich do Francyi, do Lille. Zastępca kuratora zajęty jest obecnie wypracowaniem instrukcyi, mającej służyć za podstawę dalszej organizacyi Zakładu. Gdy wszakże prof. Małecki jeszcze za życia ś. p. Jerzego Lubomirskiego, jako jego doradca i powoływany przezeń zastępca wpływał stanowczo na sprawy Zakładu, i tenże został urządzony już wówczas głównie według jego rad i wskazówek, przeto instrukcya obecna zapewne nie zmieni zasadniczo dawnego porządku, tylko niektóre rzeczy bliżej określi i stanowczo wypowie.

Tutejsza kommissya historyczna Akademii Umiejętności postanowiła na ostatniem posiedzeniu rozpocząć druk czwartego tomu *Pomników dziejowych Polski*, wydawnictwa przekazanego historykom naszym, że tak powiem testamentem naukowym ś. p. Augusta Bielowskiego. Tom niniejszy *Monumentów* obejmie: źródła pomorskie i pruskie, tudzież żywoty świętych: Wojciecha, Stanisława, królowej Kingi, Salomei, Jadwigi, Jacka, pięciu braci pustelników, i kronikę Jana z Komorowa, której opracowaniem zajął się prof. Liske. Żywot św. Stanisława opracował Dr. Kętrzyński, dyrektor Zakładu im. Ossolińskich.

Bardzo powabną książeczkę, zawierającą kilka prawdziwych pereł poezyi naszej wydał p. Władysław Bełza, pod tytułem: *Żydzi w poezyi polskiej*. Pan Bełza zestawił tutaj odnoszące się do Żydów wiersze celniejszych naszych poetów, aby jak powiada w przedmowie, okazać jak kwestya żydowska przedstawia się w poezyi polskiej, jakich barw dobierali poeci nasi do odmalowania typu Żyda polskiego i jak żywem współczuciem otaczali tę część społeczeństwa, co niegdyś przed średniowieczną nietolerancyą znalazła u nas przytułek i oparcie. Zbiorek niniejszy rozpoczyna się znaną bajeczką Jachowicza o kawałku chleba wysłanym przez litościwą panią biednej dziecinie żydowskiej, a kończy wspaniałym koncertem Jankiela z *Pana Tadeusza*. Oprócz tego znajduje się tu Włodzimierza Wolskiego *Mosiek*, Syrokomli *Tandeciarz* i *Księgarz uliczny*, Adama Pajgerta *Żydówka* i tym podobnej treści poezye Gomulickiego, Wacława Szymanowskiego, Romanowskiego, Norwida i td. P. Bełza starał się tak je zestawić, aby okazać postać Żyda polskiego przeprowadzoną przez wszystkie typy i przez całą skalę tonów, opiewanego przez pierwszorzędne talenta poetyckie. Myśl to była szczęśliwa i w porę podjęta w chwili, gdy sprawy żydowskie zostały u nas żywo poruszone w sejmie, w publicystyce i w całem społeczeństwie: „Idź w świat, mała książeczko, powiada Bełza na zakończenie przedmowy, którą zbiorek ten poprzedził. Jak owa gołębica Noego, niosąca gałązkę oliwną, tak ty nieś słowa pokoju zawarte w natchnionych głosach poetów polskich!“

Księgarnia polska prowadzi nieprzerwanie i bardzo gorliwie wydawnictwo „Biblioteki Mrówki“, która doszła już do stusześćdziesięciu pięciu tomików i niebawem skończy drugą stutomikową seryą. W roku bieżącym wydawnictwo pod względem doboru przedmiotów przybrało cechę znacznie poważniejszą. Przedtem Mrówka zbierała głównie zapasy do swej Biblioteki z kwiecia belletrystyki i poezyi, obecnie odczuwając wymagania chwili, szuka pożywienia więcej na polu historyi i nauk politycznych. Szereg tegoroczny rozpoczęła *Żywotem Kołłątaja* przez Jana Śniadeckiego; dalej znajdujemy tu *Początek i progres wojny moskiewskiej* Stanisława Żółkiewskiego, *Zasady sztuki wojskowej* hetmana Tarnowskiego, *O poprawie Rzeczypospolitej* Frycza Modrzewskiego, *O konstytucyi* Kołłątaja, *Pamiętniki jenerała Zajączka*, *Listy Jana Sobieskiego* do królowej Marysieńki, a pośród tego, jakby dla odetchnienia po pracy, dla orzeźwienia ducha, zabłąkało się kilka piękniejszych

kwiatów, poezyi, jak *Sielanki i pieśni rolników* Kazimierza Brodzińskiego, tak powabne prostotą wyrażenia i drżącem w każdym wierszu uczuciem. Obok piosnek Brodzińskiego szorstko przedstawiają się *Pisma wierszem Mikołaja Reja z Nagłowic*, wzięte z pierwotnego wydania jego *Zwierciadła* u Macieja Wierzbięty w Krakowie roku 1568 a przecież i za nie wdzięczni jesteśmy *Mrówce*, chociaż ucho nasze, do dźwięczniejszego nawykło rytmu i do podnioślejszego polotu w poezyi; wdzięczni jej jesteśmy, że powtórzywszy te stosunkowo mało znane wiersze protoplasty naszych poetów, przypomniała nam jak wyglądała poezya polska w pierwszej chwili zarania, w przedświcie swoim, przesłoniętym od nas trzema wiekami postępu literatury.

Obok „Biblioteki Mrówki“ ukończyła *Księgarnia Polska* w ciągu bieżącego roku wydanie przekładu *Nędzników* Wiktora Hugo w dziesięciu tomach, dwutomową historyą ostatniego powstania i seryą nową obrazków powieściowych Elizy Orzeszkowej pod zbiorowym tytułem *Z różnych sfer*; obecnie zaś, rozpoczęła wydawnictwo Piotra Skargi *Żywoty świętych*, zeszytami w dużym półarkuszowym formacie. Zeszytów będzie wszystkich razem 365, a każdy obejmie żywot jednego świętego.

Koło literackie reformuje się pod nowym swym zarządem. Dotąd ograniczały się jego czynności prawie wyłącznie na odbywaniu co dwa tygodnie piątkowych posiedzeń, poświęconych przeważnie odczytom treści naukowej, głównie historycznych. Posiedzenia te odbywane ze ściśle przestrzeganemi formami regulaminowemi, miały cechę urzędowej powagi, rozmijając się z celem, dla którego pierwotne *Koło* zawiązane było. Oprócz bowiem naukowej wymiany myśli celem tym miało być rozbudzenie życia towarzyskiego pomiędzy ludźmi, oddającymi się pracy umysłowej, zespolenie ich ściślejsze i nastręczenie sposobności miłej rozrywki towarzyskiej w chwilach wytchnienia. Ten drugi cel został w ciągu czasu zupełnie pominięty. *Koło* zesztywniało w swej powadze; na zgromadzenia jego coraz mniej przybywało członków, dla których mniej zajęcia i powabu miały odczyty lub dyskussya pod kierownictwem prezydyalnego dzwonka prowadzona, niżeli swobodna pogadanka której w *Kole* nie znachodzili. Gdy przy wyborze zarządu na rok obecny po stanowczej rezygnacyi prof. Kubali obrano jednogłośnie prezesem księcia Romana Czartoryskiego, a wiceprezesem profesora uniwersytetu Dra Gustawa Roszkowskiego, nowy Zarząd zajął się najpierw kwestyą ożywienia *Koła* i przedłożył ku temu swe wnioski dla rozpatrzenia których zwołano kommissyą z kilkunastu wybitniejszych członków *Koła* złożoną. Ponieważ książę Czartoryski nie zjechał dotąd na zimowy, jak zwykle, pobyt do Lwowa, przeto wiceprezes, prof. Roszkowski zajmuje się przeprowadzeniem tej sprawy, a to z całą energią dążąc do jaknajrychlejszego jej załatwienia. Na dwóch odbytych w tym przedmiocie posiedzeniach ułożyła kommissya program przeobrażenia czynności *Koła* w kierunku obiecującym więcej ożywienia, a co zatem idzie, i pomyślniejszego wogóle rozwoju prac *Koła*. Wszyscy zgodzili się na to, iż potrzeba ożywić w *Kole* ducha towarzyskiego, ku czemu jako właściwe środki uznano: najpierw odbywanie zgromadzeń, nie, jak dotychczas, co dwa tygodnie, lecz co tydzień, w każdy piątek, z których-to zgromadzeń jedno byłoby poświęcone na posiedzenia naukowe, połączone z odczytami, dyskussyami i t. p., drugie naprzemian miałoby cechę swobodnego zgromadzenia towarzyskiego, bez wykniętego z góry porządku dziennego. Uznano też za rzecz konieczną, aby *Koło literackie* na swych posiedzeniaah zajmowało się więcej, niż dotąd, sprawozdaniami z literatury bieżącej, z belletrystyki i poezyi, a zarazem zawiadamiało swych członków treściwie podawanemi sprawozdaniami bibliograficznemi o ważniejszych dziełach pojawiających się, bądź u nas, bądź za granicą na polu wszystkich nauk i umiejętności. Postanowiono też wydawać *Roczniki Koła*, w których mają być pomieszczone ważniejsze rozprawy i sprawozdania w ciągu roku w *Kole* miewane.

Oprócz tygodniowych zgromadzeń uznano też za rzecz konieczną urządzenie własnej czytelni, gdzieby członkowie codziennie schodzić się mogli. Dotychczas mieści się *Koło literackie*, w komornem niejako, w *Kasynie miejskiem*, które za małą opłatą wynajmuje mu salę co drugi piątek na jego posiedzenia. Rzecz naturalna, że w takich warunkach o rozbudzeniu życia towarzyskiego myśleć niepodobna. Własna czytelnia jako punkt schadzki, jako centralne tego życia ognisko, jest niezbędną, i to jest od czego wszelkie reformy w regulaminie *Koła* rozpocząć należy.

Wstąpiliśmy w porę koncertów, odczytów, a i o balach na różne cele dobroczynne w zbliżającym się karnawale zalatują już rozmaite wieści i obiecujące zapowiedzi. Karnawał krótki bywa zazwyczaj ożywionym, więc i w nadchodzącym roku można się spodziewać licznych zabaw. Tymczasem od połowy Listopada mamy już trzy serye odczytów popularnych, dla różnych kół osobno urządzanych. W sali ratuszowej Towarzystwo Pedagogiczne zapowiedziało jak zwykle cały kurs wykładów dla kobiet, z których korzystają najwięcej nauczycielki szkół tutejszych i uczennice Seminaryum Żeńskiego; bo publiczność tutejsza wogóle jest jakby znużona nadmiarem odczytów i stosunkowo bardzo się mało niemi zajmuje, do tego stopnia, iż nieraz już podnoszono myśl zaprzestania na jakiś czas wszelkich odczytów dla szerszej publiczności przeznaczonych. Na odczyty Towarzystwa Pedagogicznego zgromadza się dosyć liczne grono słuchaczek, należących do towarzystwa i z zawodu swego zajmujących się przedmiotami naukowemi, ale poza tem nikt prawie; chociaż treść odczytów jest tak dobrana, iż mogłaby zająć każdego, wyższe wykształcenie posiadającego, słuchacza. W roku bieżącym inspektor szkół Baranowski będzie mówił *O ideałach ludzkości w różnych epokach*; Sawczyński, dyrektor seminaryum pedagogicznego, obiera zazwyczaj do wykładu przedmioty *Z dziedziny pedagogii*; Dr Żuliński mówi *O hygienie* w jej zastosowaniu do różnych warunków społecznych i miejscowych; brat jego, prof. Józef Żuliński wybiera treść z nauk przyrodniczych. W programmat tegoroczny wchodzi także kilka wykładów z historyi i literatury.

Po części ciższami prelegenci podjęli się odczytów w ciągu zimy bieżącej w stowarzyszeniu czeladzi rzemieślniczej „Gwiazda“. Z istoty rzeczy wykłady te muszą mieć odmienną nieco cechę pod względem stylu, być przystępniejszemi i zawierać bardziej uwydatnioną dążność moralno-społeczną. Zbliżająca się rocznica odsieczy Wiednia przez Sobieskiego, którą postanowiono u nas wszędzie uroczyście obchodzić, dostarczyła także i prelegentom naszym przedmiotu do wykładów, aby przygotować mniej świadome przebiegu dziejowego umysły do tejże uroczystości. Mieczysław Darowski, czcigodny weteran a wieloletni prezes i kierownik „Gwiazdy“, któremu głównie ona zawdzięcza to, że, krocząc w rozwoju swym prawą drogą, nie zboczyła na manowce, miał dwa odczyty o Sobieskim, w których zawarł treściwy obraz jego panowania, poprzedzony wizerunkiem czasów i wojen Jana Kazimierza. Prof. Rawer miał odczyt *O zamku Oleskim*, a zapowiedział drugi *O odsieczy Wiednia*. Ksiądz Jan Siemieński podjął się trudnego przedmiotu, albowiem popularnego skreślenia dla rzemieślników wydatniejszych rysów naszej literatury. W dalszym ciągu programmatu będzie miał Sawczyński trzy wykłady *O wychowaniu dzieci w rodzinie*, a lekarz szpitala obłąkanych na Kulparkowie, Dr Dobiński, parę wykładów psychiatrycznych, wyjaśniających powody i przebieg niektórych chorób umysłowych.

Trzeci wreszcie szereg wykładów tej zimy urządza *Towarzystwo oświaty* po czytelniach przedmiejskich, stosownej treści.

W szpitalu głównym po krótkiej chorobie zmarł temi dniami ośmdziesięcioletni Domicyan Mieczkowski, jeden z ostatnich uczniów Lyceum Krzemienieckiego, a później waleczny żołnierz. Zamiłowany gorąco w dziejach i literaturze ojczystej pisał bardzo wiele, a wybierając przedmioty z historyi, miał na celu przedstawiać w pismach swoich wzniosłe wzory cnót obywatelskich i czynów rycerskich do naśladowania. Historykiem krytycznym nie był, ale wziął sobie za zadanie być że tak powiem, popularyzatorem cnót dziejowych i wielkich czynów — a wykształcony w znacznej części na francuzkich klassykach zeszłego wieku pisał, nie biografie, ale *Pochwały* osób historycznych, w których piękne ich uwydatniał czyny i szlachetne charakteru strony. Prac tego rodzaju pozostawił w rękopiśmie bardzo wiele. Niektóre z nich były drukowane, bądź po rozmaitych czasopismach, bądź osobno przed laty kilkunastu w Krakowie, za pobudką i zachętą ś. p. Lucyana Siemieńskiego. Wszystkie jego pisma odznaczają się stylem pięknym, podniosłym i potoczystym, i taką nadobnością wysłowienia, jakiej trudno znaleźć w nowszych pisarzach, przy ogólnie dziś biorącem górę skażeniu języka. Z pozostawionych rękopism zasługują na szczególniejszą uwagę, przygotowane do druku *Żywoty cnotliwych Polek*, jako piękny wzór dla młodego pokolenia. Nie byłto wielki talent pisarski, ale był zacny i gorliwy pracownik, którego wszystkie pisma owiewał duch szlachetny.

Władysław Zawadzki.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Wizerunek Reya nowo wydany przez p. Ptaszyckiego. Wspaniałość wydania. Myśl rzucona mecenasom literatury. — *Modlitewnik Siostry Konstancyi* ze skarbca Biblioteki Jagiellońskiej. Staranność wydawnicza Dra Wisłockiego. Osobliwości pisowni. Piękność wysłowienia polskiego przed czterema wiekami.

— *Wizerunk własny żywota człowyeka poczćiwego, w ktorym iako we źwierciedle, snadnie każdy swe spráwy oględáć może: zebrany y s Filozophow, y z roznych obyczaiow swiáta tego.* Warszawa, drukiem Józefa Ungra. Zesz. I str. 38 i 1 knlb.; zesz. II i III str. 39—122; — in 8vo maj. Na okładkach zeszytowych: „Petersburg — Józef Unger; Warszawa — Gebethner i Wolff.“

P. Stanisław Ptaszycki, którego znaliśmy dotychczas z broszury polemicznej o Reyu i X. Wereszczyńskim, zamiłowany w surowym, ale dzielnym naszym pisarzu XVI w., postanowił przedrukować jego, najmniej może po *Apokalipsie* znany, a największy poemat: *Wizerunek własny*, w bardzo małej liczbie exemplarzy dochowany do naszych czasów. Wstecznictwo XVII i XVIII w., które paliło literaturę protestancką i aryańską, które umiało szarpać nawet Kochanowskiego - nad Reyem formalnie się znęcało.

Wizerunk stał się dziś rzadkością, niedostępną dla najarystokratyczniejszego nawet handlu antykwarskiego. Z tego powodu, przedrukowanie poematu przez p. Ptaszyckiego, doprowadzone już do końca Rozdziału VI (mniejsza połowa), stanowi prawdziwą zasługę i wdzięcznie przez poważniejszą powszechność ludzi wykształconych przyjętem być powinno.

Początkowo, dla niewiadomych nam powodów, p. P. zamierzył poprzestać na przedrukowaniu dwóch tylko pierwszych rozdziałów, zostawiając dalsze dla przyszłości; później wszakże pomyślna jakaś okoliczność umożliwiła przedrukowanie całości: i oto mamy przed sobą trzy pierwsze zeszyty nowego wydania; czwarty i piąty ukazać się miały przed końcem bieżącego roku, a na pierwszą połowę roku przyszłego zapowiada wydawca ukończenie druku całkowitego poematu, oraz mającego mu towarzyszyć kommentarza.

Według Estreichera mieliśmy w XVI w. trzy wydania *Wizerunku*: dwa za życia autora (1558 i 1560), trzecie pośmiertne (1585). Przedruk obecny prowadzi się z wydania Wierzbięty, z r. 1560, a prowadzi w sposób jedynie przy takich odtworach drukarskich uprawniony: to jest przy wiernem zachowaniu form gramatycznych i pisowni przedrukowywanego oryginału. Ani wydawca, ani nakładca, ani drukarz — nie cofneli się przed tą błahą przeszkodą — u nas wszystko jest przeszkodą — jaką było nieistnienie w dzisiejszym alfabecie naszym *a* akcentowanego: kazali odlać, lub sprowadzili z zagranicy nowe czcionki. Wydanie jest przepyszne, druk i odbicie wzorowe, a takiego papieru jak tutaj, oddawnaśmy już pod drukiem polskim nie widzieli. Mamy przynajmniej

pewność, że ten przedruk wytrzyma parę wieków i nie zwietrzeje i nie rozsypie się, jak połowa naszych dzisiejszych książek, drukowanych chyba na to, aby ich potomność czytać nie mogła.

Dobrze uczynił wydawca, liczbując wiersze poematu co pięć; mamy ich dotychczas 4.941; wszystkich jest, według Tyszyńskiego, około 12.000. Wytykamy tu pomyłkę w liczbowaniu, przy końcu rozdziału VI: powinno być 1.105. W treść po bokach wierszy wciskają się w nowem wydaniu liczby oznaczające karty wydania podstawowego. Paragrafy tego wydania zastąpił p. P. gwiazdkami, a od str. 58 wprowadził jeszcze osobne wskaźniki, których powołanie wyjaśni nam pewno w zapowiedzianym kommentarzu.

Stopień dokładności przedruku dałby się tylko przez porównanie pilne z *editio princeps* oznaczyć; tego obecnie uczynić nie możemy, ale sam wydawca w dwóch pierwszych rozdziałach prostuje 18 błędów. Omyłki w takich przedrukach, zwłaszcza u nas, w dzisiejszym stanie drukarstwa naszego, być muszą: cała rzecz tylko w tem, żeby je wszystkie dostrzeżono i wszystkie sprostowano w końcu dzieła. Dlatego, nie należałoby się śpieszyć z wydaniem ostatniego zeszytu: każdy nabywca pierwszych zeszytów wdzięcznym będzie za zwłokę, jeśli ta ma mu przynieść większą dokładność przedruku.

Krótką przedmowę do zeszytu I uważamy tylko za słówko przelotne, w którem razi pewna chropowatość wysłowienia i zakończanie dopełniacza na *a* w „Wizerunek“ i „Zodiak“.

Czekamy na Kommentarz przy końcu dzieła. Wydawca zapowiada w nim oznaczenie różnicy textów w trzech wydaniach dawnych, uwagi nad językiem Reya, wreszcie spis wyrazów i form przestarzałych. Moglibyśmy jeszcze w wydaniu tak wspaniałem spodziewać się i nowego tytułu, wiernie z wydania 1560 r. odtworzonego, wraz z podobizną homograficzną.

Mówiąc o pierwowzorze Reya, o poemacie łacińskim Palingeniusza *Zodiacus*, p. Ptaszycki wyraża się: „Nie tu miejsce wdawać się w porównanie szczegółowe dwóch poematów“: może zatem będzie miejsce *tam*, w owym kommentarzu. Pomimo naukowo tak pięknej pracy Tyszyńskiego, (w „Bibliotece Lewentala“) nie ustała jeszcze potrzeba porównania obu poematów, dla rozgraniczenia oryginalności od naśladownictwa i wyosobnienia tego, co duchową własność Reya stanowi, coby nam i umysłowość i charakter jego ukazać zdołało we własnem ich upostaciowaniu. Praca to żmudna, jeśli ma być wykonaną sumiennie i naukowo, ale dla historyka literatury wdzięczna.

Przykład p. Ptaszyckiego powinienby zachęcić, jeśli nie firmy wydawnicze, to ludzi zamożnych, a miłujących zabytki przeszłości do odtwarzania najrzadszych, a najważnieiszych dla historyi literatury druków z dawnych wieków. Oczywiście: odtwory te powinny być takiemi, aby w zupełności oryginały zastąpić mogły. Pomimo słabo rozwiniętego życia literackiego w powszechności naszej, nie wątpimy, że oprócz znaczniejszych bibliotek, znalazłoby się jeszcze około dwustu nabywców każdego takiego wydawnictwa. Możnaby zapewnić sobie prenumeratę na cały szereg dzieł wybranych. Koszta, obliczone, dajmy nato, na 400 exemplarzy, musiałyby być przy niezbędnej doskonałości papieru i druku wysokie, ale przed największą nawet ich wysokością nie cofnie się miłośnik książek dawnych, wiedząc o tem, że dziś albo dziesiątkami dukatów płacić musi za wydania z wieku XVI i XVI, albo też wcale ich nie dostanie za największe nawet pieniądze.

Panowie magnaci i mecenasi polscy: myśl macie; dajcie czyn!

— W zbiorze rękopism Biblioteki Jagiellońskiej znajduje się ciekawy bardzo osobnik. Biblioteka zyskała go prawdopodobnie od x. Hieronima Juszyńskiego, którego zbiory w Kielcach swojego czasu słusznie wzbudzały poszanowanie. Około r. 1830 Bandtkie zwrócił na rękopismo uwagę, uporządkował je i oprawić kazał. Dr Wisłocki dostrzegłszy w rękopiśmie tem bardzo ciekawy zabytek dawniejszego naszego języka, zbadał jego znamiona charakterystyczne, opatrzył go przedmową wyjaśniającą zawartość i stosunek jej do form językowych zewnętrznych i wydał w T. III *Sprawozdań Komissyi językowej Akademii Umiejętności*. Odbitkę z tego tomu, przez wydawcę intellektualnego łaskawie nam nadesłaną, mamy przed sobą.

Szacowny zabytek pod względem językowym, morfologicznym i ortograficznym nosi tytuł: *Modlitewnik Siostry Konstancyi z r. 1527* (w Krakowie, w drukarni Uniw. Jagiellońskiego, 1882; str. 112 in 8vo). Do nadania rękopismu powyższej daty czasu upoważnia napis na ostatniej stronicy: *„1527. Stary oyczyecz napysal“*. Ponieważ jednak do str. 289 manuskrypt pisany jest inną ręką niż od owego miejsca, przeto datę r. 1527 do całości zabytku tylko przez domniemanie naukowe, oparte na ogólnym charakterze pisma danego wieku, odnieść można. W każdym razie odróżnić potrzeba dwie rzeczy: napisanie, czyli wytworzenie *Modlitewnika*, od przepisania go w kodex dziś własnością Biblioteki Jagiellońskiej będący; pierwsze mogło być od drugiego znacznie wcześniejszem. Z wydania dzieł i daty śmierci autorów w *Modlitewniku* wspomnianych, możnaby przyjąć za najdalszą granicę czasu w wieku XV r. 1490.

Za dawnością rękopisma, sięgającą wstecz poza rok 1527 przemawia nietylko ta okoliczność, że część napisana przez „starego ojca“ (od str. 290 manuskryptu) powstała niezależnie od części pierwszej, ale jeszcze i wzgląd na odmienną ortografią, obok większej samodzielności języka wobec czeszczyzny. Formy czeskie w tej drugiej części — po dość uważnem przejrzeniu i porównaniu, okazały się stosunkowo rzadszemi niż w części pierwszej.

Oryginał manuskryptu od karty 1 do 158 i od 174 do 289 pisany jest jedną i tąsamą ręką — objaśnia nas Dr Wisłocki. Przerwę od 158 do 173 oraz drugą stronnicę 310 i kartę 311 zapisano modlitwami z końca XVI i początku XVII wieku. Od str. 290 do 310 ciągnie się zapewne praca kaligraficzna i ortograficzna, a może i twórcza, „starego ojca“.

Kodex *Modlitewnika* w katalogu Biblioteki występuje pod Nr. 3.268 (dawniej DD XV 39). Jest on zupełnie małego formatu. Pierwsze 49 kart są mocno uszkodzone.

Wydanie manuskryptu odpowiada w zupełności wymaganiom nauki. — Przyjmujemy za pewnik dokładność druku; dawniejsze bowiem prace wydawnicze Dra Wisłockiego narzucają nam tu dla obecnej książki domniemanie, jakiemu prawnicy nadają u siebie nazwę *praesumptio juris et de jure*. Wszystkie karty manuskryptu oznaczone są w druku; każdy wiersz w miejscu załamania swego w manuskrypcie, łamie się i w druku. W końcu książki znajduje się słownik stukilkudziesięciu wyrazów niezrozumiałych dla dzisiejszego pokolenia. Przedmowa daje dobre o zawartości manuskryptu wyobrażenie; mianowicie wskazanie podobieństwa słownikowego, morfologicznego i ortograficznego do czeszczyzny nosi na sobie poważne znamiona nauki. Wypadki takiego podobieństwa są bardzo liczne. Wydawca wylicza je na str. 3—5 przedmowy. Miarę dobrego wgłębienia się w manuskrypt daje wyliczenie przykładów, w których kopista właściwego *Modlitewnika* miękczy spółgłoski same z siebie już miękkie, przez sprzęganie ich z *i* dzisiejszem, następującem w *Modlitewniku* po *ż, sz, szcz* i *cz*. Podobnegoż miękczenia doznają: *g, n, p, t, w, z*. Po *d, c, ć* i *r* dopuszcza się przepisywacz — a może dopuścił się i autor, — miękczenia spółgłoskowego zapomocą *z* (*rzadzy* — radzi, *jedzyny* — jedyny, *bycz* — być). Pomniki XV w. miękczenie takie za powszechne wówczas uważać pozwalają (*jedziny, cznoczie* i t. p.); a trwało ono jeszcze i w XVI wieku.

Dr Wisłocki robi uwagę, że owo miękczenie przez *i*, dostrzeżone w *Modlitewniku*, panuje także i w dawniejszej od niego *Biblii królowej Zofii*, wydanej przez Małeckiego, ale nie na tak wysokim stopniu.

Charakterystycznem dalej w pisowni *Modlitewnika* jest używanie *a* zamiast *e* i *k* zamiast *g*, *et vice versâ*.

Pod względem ortograficznym z niesłychaną swobodą gospodaruje sobie w manuskrypcie *y* z dwiema kropkami. Według wydawcy zastępuje ono *i, ji, y, j* i właściwy znak miękczenia. *J* i *y* bardzo się rzadko napotykają.

Na oznaczenie brzmień nosowych służy przepisywaczowi samo tylko *ą*, co nawet wobec znacznie dawniejszych zabytków za pewne niedołęztwo uznać potrzeba. Zdarza się wszakże wyrażanie tych brzmień przez czyste *a* i *e*, przez nieliterackie polskie *an*, a nawet przez takie dziwactwo jak *qn*.

Bardzo charakterystyczną jest przeważająca w manuskrypcie pisownia wyrazu „nauka“. Przepisywacz zastępuje dwie samogłoski zbiegające się, *a* i *u*, przez *ą*. Słusznie Dr Wisłocki tłómaczy sobie pisownią taką wymawianiem, w którem obie samogłoski zbiegały się w dyftong.

Druga część manuskryptu, owa wykaligrafowana przez „starego ojca“, jest niepodleglejszą w stosunku do czeszczyzny, ale zato przez stosunkowo częstsze użycie *sch* w miejsce dzisiejszego *sz*, wskazuje wpływ niemiecki; przyczem przypomnieć należy, że druki i manuskrypta zarówno późniejsze jak i wcześniejsze, właśnie tej formy często używają. W pierwszej części manuskryptu przepisywacz oddaje brzmienie *sz* przez *ss*.

Główną różnicę graficzną stanowi w części II *ł*, którego w pierwszej nie mieliśmy sposobności napotkać; nie panuje ono wszakże jeszcze zupełnie. Podobnież jak tam *y* dwukropkowe miękczy w tej drugiej części, nietylko spółgłoski wymienione wyżej, ale nadto jeszcze *l* (*vyelką barzo tęsklyvoszczyą dlya rozlączenya* — str. 104). W obu częściach zarówno *g* używa się zamiast *k*, a po *t* następuje przydechowe *h*; w obu *g* gra rolę *ji* (*gynsze* — str. 98; *gymena* — str. 99; *rozmagythych* — str. 105; *gych vsta* — str. 106). *„Slzy“* występują już w formie *„zlzy“* — łzy. Zdarza się przecież *„złesz“* — łez.

Do osobliwości językowych w *Modlitewniku* należą: *„potrzeb“* zamiast *potrzeba*; *„uć“* (*„ucz“*) zamiast *ujść*; *„ciem“*, występujące w złożonych dzisiejszych „bociem“; dalej *„cusz“* — to jest — wreszcie opuszczanie *ł* w czasie przeszłym (*rzek, rozdar, przyszed*); *„Ihesu“* — *Jezu*, które niewiadomo jak w XV w. wymawiano.

Nie chcemy tonąć w szczegółach, bądź przez samego wydawcę intellektualnego, bądź własnem dostrzeganiem wydobytych z materyału tak zajmującego dla badaczy i miłośników ojczystego języka. Duchowa strona textu, wysłowienie stylowe, jest niemniej zajmującą, a w stosunku do tamtej zewnętrznej, cielesnej, wyższą.

Nie potrzeba wysilać się na pochwały, aby odczuć radość z pięknego toku myśli i szlachetnej pod względem stylu formy *Modlitewnika*. Składnia i styl niektórych ustępów słuszną, arystokratyczną przejmuje nas dumą. Przy danych, zastarzałych dzisiaj, a współcześnie od obczyzny niezupełnie wolnych, postaciach językowych, umiano już na schyłku XV w. dobrze wtłaczać wyrazy w porządek myślowy, ujarzmiać je i w piękne całości układać. Oto posłuchajmy przekładu z Piotra Lombarda na str. 32, w świeższym języku, ale w dawniejszej, nietkniętej składni: „O, dobry, najsłodszy Jezu, jużem usłyszała i zrozumiała wielkość uczynków i smętków twej najsłodszej duszy, a Twego najświętszego ciała mąk i boleści, których żadna myśl i rozum wymyśleć nie zdoła; ale Cię jeszcze pokornie proszę, bo z tej łaskawej odpowiedzi Twojej, w serce moje wpadło to pytanie: Jako Twej najświętszej duszy i najbłogosławieńszej, mogła która boleść, albo męka, albo smutek przypaść, gdyż ona zawsze była w nadnajwyższej rozkoszy, w opatrzeniu i w bogomyśleniu najświętszego bóstwa, które jako miłosne tako przyjemne i lubieżne jest ku widzeniu i rozmyslaniu i żeby (gdyby) oni nędzni potępieni w piekle mogli nieco widzieć miłosnego oblicza Bożego, jako widzą błogosławione dusze w królestwie niebieskiem, żadna boleść, żaden smutekby ich nie dręczył, ani ogień piekielny, ani oblicznosć dyabłów“.

Pod względem stylu największy pisarz polski dzisiejszej doby nie powstydziłby się tego ustępu. Cała rozmowa duszy z Krucyfixem jest wysłowioną prześlicznie.

Gdyśmy się wczytywali w *Modlitewnik* pod wrażeniem takich pięknych jego ustępów, upornie wracała do nas myśl: Czyby wiele miejsc w niem nie dało się wprost, przy unowożytnieniu tylko samego języka, spożytkować dla celów praktyki religijnej?

Wydaniem *Modlitewnika* Dr Wisłocki do pracy swej dotychczasowej dołożył nową zasługę wobec nauki i literatury. Ogłoszony przez niego pomnik jest tak wybitnym, że dopomina się porównania szczegółowego, na podstawie dzisiejszego językoznawstwa, ze wszystkiemi pomnikami dawniejszemi i z temi, które po nim bezpośrednio nastąpiły, zwłaszcza z pierwszemi płodami literatury *Złotego Wieku*.

Ktoby taką pracę dobrze wykonał — wyświadczyłby niepowszednią przysługę historyi języka ojczystego, a pośrednio i intelligencyi swego narodu.

Z RZYMU DO NEAPOLU

przez

Anielę Trypplin.

(Dokończenie)

— „Brak pieniędzy, mój panie, brak pieniędzy, *non c'e denari*,— pokornie protestuje księżyna.— „A na świeczki, na msze, nigdy ich nie brak, nieprawdaż“?—zagadnął officer marynarki.

Wśród tej sprzeczki, świadczącej, że duchowieństwo we Włoszech mało wywiera wpływu na średnie klassy, dojeżdżamy do Kapui, do owej czarodziejskiej Kapui, gdzie pod wpływem klimatu i upajających wdzięków natury zatonęła w rozkoszach ziemskich rycerska dusza Annibala. Jak ponętnie ona teraz wygląda, w płaszczu białych mgieł bujających po powietrzu, po szczytach wysokich śpiczastych gór, zróżowionych pierwszym uściskiem Feba! Tak, już błyszczy jutrznia nad tą ziemią błogosławioną, gdzie cyprys, myrt, aloes, pomarańcza, przystrajają murowane różowe chaty wieśniacze, gdzie kaktusy, przez nas tak starannie w doniczkach pielęgnowane, pną się po skałach i urwiskach, jak dzikie zielska, gdzie ciągle w uszach pobrzmiewa piosnka Mignony:— „Znasz li ten kraj?“—gdzie natura rozsypała hojnie wszystkie swe dary i dała wszystko, czego ludziom do szczęścia trzeba; - gdzie piękno powinno było rozbudzić dobroć i cnotę, a gdzie jednak Tyberyusze i Nerony tarzali się w zbrodni i okrucieństwie.

Śpijcie, towarzysze podróży, Włosi, zrodzeni pod tą szafirową niebios kopułą, kołysani melodyą tych lasów i fal szmaragdowych, oswojeni ze świąteczną szatą waszej ziemi—wy Kapucyni i Bernardyni, świeżo przybyli do naszego grona, przesuwający paciorki różańca pomarszczoną, wychudłą dłonią i marzący może o innem nieśmiertelnem niebie: mnie w tej chwili dosyć tego nieba ziemskiego, skąpanego w blaskach porannej zorzy. Pierzchajcie z myśli groźne dziejowe wspomnienia, całun smutku rozpościerające nad temi miasty i doliny; pierzchajcie z oczu widma Neronów, Kaligulów, Karolów, Manfredów, Ferdynandów i tylu innych, którzyście tutaj sieli niewolę, zniszczenie i śmierć; pierzchajcie jak te mgły, które promienie Feba rozwiewają — bo już jesteśmy w Casalnuovo, już na zielonych wzgórzach bielą się i różowieją góry domów i świątyń.

W kilka minut stajemy w Neapolu. Jestże człowiek tak nieszczęśliwy, aby w sercu jego nie zadrgało radością na pierwszy błysk owej czarownej Partenopy, na myśl ujrzenia własnemi oczyma tego grodu, opiewanego przez Wirgiliusza, Tassa, Byrona, Shelleya i innych nieśmietelnych poetów; grodu, o którym wołano:—„*Veder—e poi morì*“?

Już lokomotywa zwalnia bieg, już słabo dyszy, już jesteśmy u celu podróży i już widzę wzgórze sąsiadujące z Wezuwiuszem; już nam otwierają świetny dworzec kolei, wystawiony z całym komfortem tegoczesnej cywilizacyi, z całym zbytkiem okolicy, dla której marmur jest prostym kamieniem. Za chwilę wtargniemy do raju. Ale, niestety, u drzwi tego raju stoi, nie anioł, cudnie piękny, z zasmuconem obliczem, lecz urzędnik celny, domagający się rewizyi kufrów, które przetrząsa od góry do dołu, bez względu na to, czy podróżnik przybył z Australii czy z Rzymu, czy z Kapui. Takie jest prawo i taki obowiązek tutejszych celników.

Kiedy się odbyło niezbędne powitanie u drzwi tego raju, spotyka cię, nie ów nieskończenie interessujący, rozumny, ironiczny, przedowcipny Demon Miltona, ale cała czereda najpowszechniejszych rabusiów, czychających na twe mienie. Otóż i rozczarowanie po rozczarowaniu. Nie wierzyłam przestrogom Włochów północnych i bez obawy zdążałam ku Neapolowi, wyobrażając sobie, że przez te dwadzieścia dwa lata swobody i rządów konstytucyjnych, lud tutejszy wyszlachetniał, przestał żyć oszustwem, i że owi rozbójnicy ze sztyletem za pasem, są tylko legendą dawno przebrzmiałej epoki. Tymczasem nie: ten lud jest tem, czem był; równie brudnym, wyuzdanym, niemoralnym i niebezpiecznym. Zaledwie stanęłam na dworcu kolei, obstąpili mnie *facchini* w szafirowych bluzach i czerwonych czapkach, z tem bystrem i szelmowskiem spojrzeniem, właściwem Neapolitańczykom, i rozmawiając z sobą według zwyczaju na migi, wyrwali mi z rąk torby i pudełka. Nie słuchają żadnej protestacyi, lecą dalej, a ja biegnę za nimi w obawie wiecznego rozstania się z mojemi ruchomościami. Trzeci *facchino* przyłącza się do nas po chwili, daje znak dorożkarzowi, pcha mnie gwałtem do powozu, zasiada tuż przy mnie bez ceremonii, koledze swemu rozkazuje zasiąśdź na koźle i poleca wieźć mnie do albergo, którego nazwy nie dosłyszałam, podczas, kiedy ja daję adres hotelu „des Etrangers“— „L'Albergo d'Inghilterra non eseste piu“ — twierdzi z całą bezczelnością oszusta. Daremnie moje protestowanie; przeciw trzem silnym mężczyznom cóż mogę ja jedna? Oglądam się, czy niéma gdzie policyanta, ale ich tu tak mało, a powtóre, jak fama niesie, bywają oni często w zmowie ze złoczyńcami. Trzeba się zatem poddać losowi. Przez wązkie, brudne uliczki, podjeżdżamy nareszcie do jakiegoś hotelu o fizjognomii podejrzanej, wstrętnej, przez ciemne kręte schody, gna mnie teraz czterech mężczyzn coraz wyżej a wyżej! Przedstawiam, że nie mogę mieszkać na czwartem piętrze. Nikt na moje słowa nie zwraca uwagi; kufry moje wnoszą się w coraz wyższe sfery i za niemi podążać muszę. Nakoniec, czerwony, rozczochrany, niezapięty, jak należy, właściciel domu, otwiera izbę ciemną, wilgotną z widokiem na rozpaczliwie biedny i niewonny zaułek, z meblami połamanemi i obszarpanemi, i oznajmuje, że ten pokój będzie moim za trzy franki dziennie. To nie był pokój, ale nora, ale więzienie; Silvio Pellico na Spielburgu zapewne posiadał lepszy. Tego mi już nadto: trzeba zwyciężyć lub zginąć. Stanowczo oznajmiam, że pod tym dachem nie zostanę ani chwili. Stróż i gospodarz spojrzeli po sobie i w głos się rozśmieli, oświadczając, że zostać muszę, bom ich na fatygę naraziła. Wobec niegodnej tyranii i kobieta zdobyć się umie na przytomność umysłu. Moi kaci chcą wyjść i drzwi zamknąć na klucz, ale ja jednem posunięciem się dobiegłam do okna i zaczęłam wołać policyi. Oszuści oprzytomnieli; godzina 7 biła właśnie na zegarze; wiedzieli, że we dnie rozbój jest trudniejszym do wykonania. Niemogąc mnie zatem ani zabić, ani uwięzić, kazali zapłacić najpierw za pokój, a potem za powóz i fatygę, i nie chcieli mi już znieść jednego z mych kufrów, twierdząc, że ten jest własnością pewnego lokatora, który dnia wczorajszego tu przybył. Trzeba było patrzeć na bezczelne oblicze dowódzcy szajki, wyrywającego mi własność z mojej ręki, aby mieć wyobrażenie o neapolitańskiej uczciwości. Jeden z niegodziwców, postanowiwszy jeszcze trochę grosza odemnie zarobić, szepcze mi teraz do ucha, że dobrze czynię, wynosząc się z tego domu: — *e una cattiva casa* dodaje, zasiada znowu ze mną do dorożki i w żaden sposób pozbyć się nie mogę jego towarzystwa. Idzie rzecz teraz o podwójne na piwo: odemnie i od właściciela hotelu, do którego się udam.

Stanąwszy na placu „del Municipio“, przed „Pension Cavour“, odetchnęłam swobodnie, bo tutaj wszystko, zaczynając od bramy i schodów, odznacza się wyglądem przyzwoitym, uspakajającym, chociaż i tu, przy bliższem poznaniu, odkryłam systemat zdzierstwa, przez podawanie fałszywych rachunków; ale na jakiemże słońcu nie dostrzeżesz plamy? Zawsze to hotel spokojny, w którym nikogo nie zabiją i nie okradną i gdzie porządne zamieszkuje towarzystwo. Jedzenie zdrowe, pokoje wysokie, widne, a ceny przystępne—od 7 do 9 franków całodzienne utrzymanie.

Dość jednak tych prozą najprozaiczniejszą tchnących szczegółów, lećmyż czemprędzej na ulice, złożyć hołd, tej uroczej Syrenie, którą Göthe tak się zachwycał, której Wirgiliusz śpiewał: „Morze ci było kołyską, zefiry cię do snu usypiały“.

Wychodzę—serce mi bije gwałtownie na samę myśl tej biesiady piękna, u której wnet zasiądę, a tu trzeba kroczyć wolno, przez ten Plac Municypalności, nie większy od naszego Placu Teatralnego, lecz bardzo ożywiony; jest on jednym z najcentralniejszych punktów miasta. Dorożki, wozy, ekwipaże, omnibusy i tramwaje nieustannie po nim krążą, wymijają się, turkoczą i świszczą, co, w połączeniu z ciągłym przeraźliwym krzykiem wszystkich drobnych przemysłowców tutejszych, w pierwszej chwili odurza — tembardziej, że w tym wrzasku jest coś rażącego niemile, dzikiego, wstrętnego dla słuchu. Północne nasze uszy bynajmniej do takich wrzasków nie przywykły. Nietylko dla uszu, ale i dla oka wszystko tu się wydaje obcem i nowem. Widzi się miasto z powierzchownością i obyczajami zupełnie odmiennemi od tych, które się spotyka w zachodniej Europie i Włoszech północnych, coś naiwnie pierwotnego, jakby poza kulturą europejską stojącego. Wóz, obładowany towarem i zaprzężony trzema osiołkami, wystrojonemi w gotyckiej roboty bronzy i dzwoneczki wciąż tętniące, wymija eleganckie dwukonne lando; kozy z dzwoneczkami i czerwonemi kokardami przeciskają się koło tramwajów; praczka z tłómokami bielizny siedzi na chudym, biednym osiołku i toruje sobie drogę pałką; straganiarz pcha swój wóz z owocami, rybami lub ciastkami; ulicznik w kamizelce czerwonej rozdaje gazety w prawo i w lewo; przed Café Turc, z nogami wyciągniętemi, *zajadają* kawę z fusami Grecy w fezach, Arabi w beduinach, Turcy w narodowym kostiumie, Murzyni, czarni jak sadze, i wreszcie Indowie, bronzowi lub nawet żółci. Dolatują mnie rozmaite, nigdy niesłyszane dyalekty i języki, równie dla mnie niezrozumiałe, jak to serdecznie brzydkie neapolitańskie narzecze, którem przemawia i wykrzykuje pospólstwo, a którego się nawet Włosi północni uczyć muszą, aby je zrozumieć.

Przez Plac Mercadantego i ulicę Marina chcę zejść ku morzu, ku temu Molo, gdzie poważnie stoją dwie czerwone wysokie wieżyce z morskiemi latarniami, gdzie powiewają maszty i chorągwie tysiącznych statków i okrętów. Odległość to nie wielka, lecz jakże trudna do przebycia dla cudzoziemca, rozciekawionego, oglądającego się na wszystkie strony i nieidącego śpiesznie, prosto przed siebie! Neapolitańczyk jest sprytny, jak ulicznik paryzki, za jednym ruchem, za jednem spojrzeniem rozróżni podróżnika od krajowca i wnet go ściga, proponując swe usługi, częstując owocami, dorożkami, gazetami, łódkami, spacerem na Capri, wyprawą na Wezuwiusz i Bóg wie nie jakiemi rozrywkami. Co chwila, to młode dziewczę z koralami, to stary obdarty dziad, to chłopczyna, dobrze lub nędznie odziany, to tłusta, rumiana kobieta—biegną za tobą, z legendowym frazesem: „*Fatte la carità*—mam chorą matkę, umierającą żonę lub ośmioro dzieci“. Trzeba mieć stanowczość wojskowego włoskiego, aby huknąć z pełnej piersi: „*Andate via*“ i uwolnić się od tej nieznośnej gawiedzi, ciągle czychającej na kieszeń bliźniego, skrycie lub jawnie. Im bliżej portu, tembardziej się wzmaga ruch, tentent i wrzask. Nietylko wszyscy, ale śmiało rzec można, wszystko tu krzyczy, dzwoni i huczy: krzyczy obszarpany dorożkarz, zapraszający cię do swej dorożki— podobnej do warszawskich fiakrów; krzyczy owocarka i limonadierka, sprzedająca napój przed eleganckim, ustawicznie ruszającym się straganem, zdobnym w bronzowe w gotyckim stylu balustrady; krzyczy handlarz gotujący w kotle kasztany i kukurudzę; krzyczy i klnie próżniak, któ-

remu odmówiłeś jałmużny; krzyczy gondolier, pragnący cię zdobyć do swej łódki; krzyczy krowa i koza, niemogące się przecisnąć pomiędzy omnibusami i tramwajami; krzyczy biedny osiołek, którego walą biczem, gdy ciężaru swego udźwignąć nie może, a dzwonki wciąż dzwonią, uzupełniając te czyśćcowe symfonie. Jeśli tak było za czasów Wirgiliusza, to doprawdy nie wiem, gdzie on dostrzegł ową ogólną harmonią miasta, którą tak gorąco wychwala przed potomnością. Przeciwnie: na ulicach wszystko razi najstraszniejszemi dyssonansami, począwszy od gtosów ludzkich i źwierzęcych, a skończywszy na owych nieznośnych katarynkach, wydających dźwięki podobne do klekotu zdruzgotanych, zgrzybiałych fortepianów a wiecznie mordujących „Trawiatę“, „Martę“ lub „Cerulika Sewilskiego“. Katarynki warszawskie są arfami eolskiemi w porównaniu z tutejszemi instrumentami, których fabrykanci bogdaj swe utwory w piekle odpokutowali. Śpiewy, serenady gondolierów należą już teraz do legend, a cudzoziemcy o nich wspominający—z przeproszeniem—chyba do blagierów. Czasem, z wieczora, przed hotelem zabłąka się jakiś grajek z arfą w ręku i utnie czystym, choć nie wyrobionym głosem: „O, Santa Lucia“ lub „O mia bella“, ale pieśni Tassa ani Petrarki nie nucą już ani gondolierzy, ani rybacy, świadczę się Neptunem i Amfitrytą. O tem się przekonałam, naturalnie nieodrazu, ale podczas kilkotygodniowego pobytu w Neapolu i ciągłego poszukiwania śpiewów i serenad, które tak lubię. Wracajmy wszakże na Molo, ponieważ dzisiaj podaję tylko wrażenie pierwszych chwil spędzonych w raju ziemskim.

Dziwnem się może wydają moje wyznania, ale szczerze powiem, że ten tak zwany raj, nawet tu, na Molo, w obliczu morza, Wezuwiusza, zielonych wzgórz i całych piramid pałaców i domów rozciągających się coraz wyżej a wyżej, strojnych statków i gondoli, bynajmniej nie sprawia wrażenia edenowego. Eden jest dla mnie synonimem czegoś harmonijnego, jednolicie pięknego. A jakże tu zlać w jednę artystyczną całość, te blaski nieba, wdzięki i bogactwa przyrody z tym brudem, z temi śmieciami, z zabójczą wonią, dolatującą z zaułków i kanałów, a zwłaszcza z temi tłumami obszarpanemi, bosemi, na wpół nagiemi, bezstydnemi, wyczesującemi sobie z włosów to, co się w nich nigdy znaleźć nie było powinno, drapiącemi się namiętnie i pozbawionemi miłości własnej, bo żebrzącemi ciągle, zawsze i wszędzie, czy-to sprzedają owoce, czy grają w karty, czy zajadają pulpę. O jak szlachetnym mi się wydaje teraz nasz poczciwy chłopek polski, walczący z głodem i chłodem, zapożyczający się, okryty obdartą siermięgą, a ręki po jałmużnę nie wyciągający! Tutaj smutek i gniew ogarniają serce na widok ludzi, którzy pod tą niebios cudowną kopułą, w tym uroczym klimacie, powinni byli wyrość biali jak lilie wodne, różowi purpurą szczęścia, jak róże jerychońskie, a dzięki wiekowej ciemnocie, wiekowemu zepsuciu i wiekowej nędzy moralnej, znajdują się w stanie pierwotnego niechlujstwa, zbydlęcenia i drapieżności.

DROBNE LISTKI.

Polski manuskrypt obejmujący miarowy przekład Tassa: *Gerusalemme Liberato*, Korwina Piotrowskiego, został pomieszczony w londyńskiem *British Museum* w zbiorze rękopismów.

Polowanie przy świetle elektrycznem. którego próba odbyła się w Anglii w Lancashire, obudziło wielki niepokój między myśliwymi, i złączono z tem żądanie, aby rządy zabroniły właścicielom łowów tego rodzaju w interessie publicznym zachowania zwierzyny, którą tak prowadzone polowania wyniszczyłyby wkrótce sposobem barbarzyńskim. Łowy takie odbywać się muszą w nocy; na polance leśnej, lub na polu pod lasem ustawia się lokomobilę z maszyną dynamiczną, która zasyca światło lampy elektrycznej, umieszczonej na bardzo wysokiej tyce, gdy jednocześnie urządzona naganka uśpioną źwierzynę gwałtownym krzykiem i straszeniem budzi, przyczem przelękłe ptactwo tak jak i zwierz czworonożny, zrywa się ze snu, z przestrachu ucieka, pędząc ku światłu, gdzie już może być zabijanym bez trudu i litości. Pomysł do urządzenia takich niemiłosiernych łowów, przyszedł Anglikom do głowy, przez spostrzeżenie, jak ptactwo morskie wśród nocnej ciemnej burzy tłumnie się zbiega do latarni morskich, o które często na śmierć się rozbija, łbami o szyby szkła uderzając.

Siła owadów, znana przyrodnikom, została poddana świeżym doświadczeniom. Uczony Francuz, Dr Plateau, sporządził rodzaj maleńkiego wózka, mogącego przyjąć kilka grammów ciężaru i za pomocą lejc z cienkiej nitki, zaprzęgając do niego owady, doszedł do pozytywnych rezultatów, porównawczej siły tych stworzeń. Im owad jest mniejszy, tem stosunkowo jego pociągowa siła jest większą i tak: chrabąszcz uciągnie dwadzieścia jeden, a pszczoła trzydzieści razy tyle co koń, bo koń ciągnie sześć siódmych własnej swej wagi, chrabąszcz zaś czternaście, pszczoła dwadzieścia razy tyle, ilc waży sama. Chrabąszcz ciągnął przy doświadczeniach Dra Plateau czternaście innych chrabąszczy, rozwijając przytem siłę równające się lokomotywie, pszczoła—pszczół dwadzieścia. Siła koników polnych i mrówek ma być stosunkowo jeszcze większe.

Z krwi króla Sobieskiego mająca pochodzić panna, odkrytą została przez dzienniki niemieckie wSaxonii. Jakiś potomek króla Jana, Jakub Sobieski, miał się jako emigrant osiedlić w Pradze, syn jego ożenił się z ubogą mieszczańską panienką i z tej pary urodzona córka, pracowała dotąd w fabryce płótna w Gersdorf i teraz wyszła świeżo za mąż, w parafii Georgswald. Wiadomość podaje „Hamburger Zeitung“.

Bogate kopalnie złota zostały odkryte na wyspie Bömmelo, należącej do Norwegii. Istniały tam już poprzednio we wschodniej stronie wyspy obfite kopalnie miedzi, które gdy w tym roku na wiosnę zachciano pogłębić, na 20 kubicznych stóp głębokości zaczęły się pokazywać pojedyncze ziarnka złotego piasku, których przy dalszem zapuszczaniu się w głąb' coraz przybywało więcej i coraz większych, umieszczonych w pokładach kwarcu i felspatu. Próba, zupełnie pierwotnym sposobem odbyta wypłukiwania z nich złota, wydała świetny rezultat. Jedna czwarta część kubicznego metra głazu przyniosła 200 kubicznych gran czystego złota. Gabinet mineralogiczny w Chrystyanii naukowo badał złotodajną skałę i przekonał się o wielkiej zawartości w niej tego szlachetnego kruszczu. Szczęśliwy posiadacz kopalni, sprzedawszy dla nabycia maszyn i narzędzi potrzebnych czwartą część posiadanego już złota, dostał za nie 50,000 koron.

W dzień Sw. Marcina Biskupa, to jest 11 Listopad odbywa się corocznie w Duńskim zawsze, choć dziś niby Niemieckim Szleswigu, ciekawa uroczystość. Pan Breitenburskiej włości, hr. Rantzan odbiera w zamku Breitenburga od jednego z dzieu rżawców swoich fenig czynszu, poczem dzierżawca i właściciel zasiadają razem do stołu i jedzą obiad, którego potrawy są zawsze z roku na rok niezmienione. Łączy się z tem dawna historya. Hrabia Rautzau młody jeszcze podówczas i niedość dobrze z dziedzicznemi włościami swemi obznajomiony, polując jesienią wśród obszernego lasu, zapędził się za źwierzyną na niebezpieczne trzęsawiska i wzywając daremnie pomocy w odludnej kniei, już w błoto zapadał, gdy nagle zjawił się wybawca, młody też wieśniak, który pocoś do lasu przyszedł i usłyszawszy wołanie, przybył hrabiemu z pomocą. Uratowany od pewnej śmierci, chciał wynagrodzić czemś wybawcę, ale ten nic przyjąć nie chciał, uważając czyn swój za rzecz prostego obowiązku. Przecież naglony koniecznie, zażądał żartem, aby mu hrabia darował moczary, z których go wyciągnął, na co ten przystając, położył przecież warunek, aby obdarowany wieczystą dzierżawą płacił mu z niej corok fenig jeden, osobiście do zamku odnoszony, a potem zasiadał z nim do stołu i jadł razem obiad. Wieśniak przystał na to, ale oświadczył, że pańskie potrawy nie szłyby na zdrowie, więc zadysponował sobie co na obiad być powinno i ugoda stanęła. Hrabia do zamku, wieśniak do chaty powrócił, ale uczucie własności zaczęło w nim teraz nurtować, czasy-to były w Szlezwigu pańszczyźniane jeszcze, i osiąść choćby na kępie błot, znaczyło zostać swobodnym panem siebie. Więc zachodził do posiadłości swojej, patrzył, głowę łamał, potem silnej ręki do dzieła przykładając, zaczął od kępy do kępy suchej ziemi groblę bić, zaczął wskróś moczarów szeroki rów kopać. Wiosenne wody następnego roku rozszerzyły go, spłynąwszy weń, z leniwie ciekących wodocieczy, które się tu teraz połączyły i stały się rzeczułką. Moczary zwolna się osuszały, szlamem naniesiona, tysiącami korzeni roślin wodnych użyźniona ziemia stała się glebą bogatą, i wieśniak, Wernecke, stał się kmieciem zamożnym, osiadł wśród własności swej, którą zabudował, lecz umowy swej z dziedzicem gruntu nigdy nienadwerężając, zjawia się corok w dzień św. Marcina Biskupa w zamku Breitenburga, gdzie hrabia czeka go uroczyście w towarzystwie swego rządcy i kancellaryi, odbiera osobiście przyniesiony mu fenig, z czego protokół zostaje natychmiast spisanym, poczem dwóch, już dziś starców, przechodzi do sali jadalnej, gdzie jedzą tradycyonalny obiad. Wernecke jest rozsądnym, poważnym człowiekiem; obecnie też są to dwaj przyjaciele, przywiązani do siebie i szanujący się wzajem. Jako rys charakterystyczny należy tu dodać, że dzierżawca ratę swego czynszu składa zawsze w starym duńskim fenigu srebrnym, jakich dziś zaczyna już w Szlezwigu brakną, bo wraz z rządem niemieckim wprowadzoną tam została i moneta niemiecka. Zawsze przecież ktoś usłużny dostarczy mu pożądanego feniga duńskiego, a hrabia chowa je wszystkie w przeznaczonej na ten cel pięknej szkatule.

Sprostowanie.

W Nr 51 *Bluszczu* na str. 405, w łamie 2, w wierszu 20, od dołu, przy nazwisku „Poziomkowskiego“, powinno stać: „w *Sądzie honorowym*“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Aż do śmierci.**

TREŚĆ. Jerychońska róża, (poezya). przez M. I. — Pozytywizm w praktyce, powieść, (dokończenie), przez Sewera. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Wiadomości naukowe, artystyczne i literackie. — Z Rzymu do Neapolu, (dokończenie). — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20. **Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.**

Дозволено Цензурою.
Варшава 15 Декабря 1882 года.

18376
Pomorskie Tow. Przyjaciół Nauk Biblioteka